

Adam Poprawa

# Klauzula z cietrzewiem

W jednej z fotoprób Janusza Andermana tłum dziennikarzy i technicznych od sprzętu niecierpliwie wyczekuje przylotu Konrada Hejmy, dominikanina, któremu nigdy chyba do głowy nie przyszło, jakich nowych znaczeń może nabrać Jezusowa rada: „co słyszycie na ucho, rozgłaszajcie na dachach” (Mt 10,27, przekład z Tysiąclatki). Na razie rzymskiego samolotu nie ma, przybył natomiast zespół rockowy (niestety Anderman nie podaje nazwy). Muzycy – na lekkim zresztą rauszu, co nijak nie zmienia domniemania przez gości sytuacji komunikacyjnej – uznali reporterów za swoich witaczy, nie wiedzieli przecież, że są w Polsce sprawy bardziej poruszające masowe emocje niż rock’n’roll. Tymczasem w hali pojawił się Leszek Kołakowski. Jedna z dziennikarek oświadczyła: „– Hejmo raczej nie przyleciał, ale ten gościu chyba też jakiś znany!”.

Czwarta władza rzuciła się więc na filozofa, by po chwili całkowicie stracić zapal. Kołakowski opowiedział umówionej z nim dokumentalistce historię innego *qui pro quo* i innego rozpoznania. Narrator-bohater Andermana wyraźnie zaznacza akustyczną przestrzeń, urywając relację w momencie zagłuszającej zapowiedzi wydobywającej się z lotniskowych głośników. Tak tedy mówił Kołakowski:

„to jeszcze nic [...], ale gdy byłem na Litwie z delegacją filozofów, to przywitała mnie cała orkiestra dęta i nie mogliśmy się ruszyć, bo oni grali mi blisko godzinę, a nie wypadało robić afrotu. Ale afrot chyba jednak był, bo się okazało, że oni czekali na jakiegoś znanego pływaka i wzięli mnie za niego... A gdy z kolei byłem w Garbatce, to już nie było pomyłki i ciągnęły za mną panie z zespołu ludowego w zapaskach, i śpiewały, proszę sobie wyobrazić, «Szła dziewczeczka do laseczka»... A kiedy wpisałem się do księgi pamiątkowej, to nawet jedna z organizatorek oświadczyła: bardzo to oprawimy!”.

Są literaturoznawcy, których teoria fascynuje nieporównywalnie bardziej niż sama literatura, aczkolwiek, zgoda, nie ma samej literatury. Nie sądzę, bym mógł się do tej grupy zapisać, muszę przecież przyznać, że gdyby poprzestać na anegdotach z opowiadania Andermana, byłaby to świetna proza i w miarę jasna sytuacja. Kołakowski pozaliteracki odniósł się jednak do siebie w świecie przedstawionym, czym znacznie skomplikował strukturę autonomii i referencji. Po prasowym pierwodruku *Przylotu* wystosował mianowicie do redakcji sprostowanie? komentarz? A niech tam: wysłał do „Gazety” brewe. I napisał tam, iż żadną miarą nie mógł Anderman (Kołakowski poprzedza imię formą „pan” – raczej grzecznościową niż dystansującą) wtedy, na lotnisku, jego słów usłyszeć. Poza tym, jeśli idzie o pierwszą historię, „nie na Litwie rzecz się zdarzyła, lecz na statku płynącym z Rijeki do wyspy Korczula w Jugosławii”. Co zaś do Garbatki, Kołakowski udał się do niej (kiedyś) później, po opisanym przylocie do Warszawy. I raz jeszcze: gdyby chodziło wyłącznie o ujawnienie biograficznych detali, to zarówno badacze dzieła Andermana, jak i biogra-

# felietony

fowie humanisty mieliby za co temu drugiemu dziękować. Oczywiście i tak mają, tyle że, oprócz wdzięczności, pozostaje jeszcze sposób przyjęcia prozy autora *Nowych fotografii* przez jednego z jej bohaterów. A jest tu Kołakowski ironiczny i przymiotnik ten spokojnie można uznać za eufemizm. Nazywa zatem Andermana „kronikarzem”, który nie dba o różnice w przestrzeni ni w czasie. Zamyka natomiast swoją wypowiedź podziękowaniem. Jeśli raz jeszcze można przypomnieć bohatera innego tekstu: gdyby Jezus usłyszał coś podobnego od Samarytanina uwolnionego od trądu, to wołalby dziesięciu poprzednich ozdowieńców, którzy ni cholery nie znali *savoir-vivre’u*. Napisał bowiem Kołakowski: „Wdzięczny jednak jestem Autorowi, że te historyczne wydarzenia, których byłem bohaterem (zwłaszcza fakt, że w mojej przytomności śpiewano «Szła dziewczeczka do laseczka»), utrwalił dla przyszłych pokoleń”.

Dalibyście sobie lepiej spokój, Anderman – tyle chciał powiedzieć Kołakowski? Dlaczego wyznaczył prozaikowi poślednią rolę kronikarza? Z łaski? Niemożliwe, żeby nie widział różnicy między faktografią a literacką kreacją. To trochę tak, jakby uznać *Klucz niebieski* za dyskursywny komentarz biblistyczny. W innym przypadku Kołakowski sam podjął literacką grę: kiedy Barańczak opublikował w „Zeszytach Literackich” *Cietrzewia*, bawiąc się w tym wierszu przedstawieniem siebie jako jedynego potrafiącego znaleźć rym do tytułowego ptaka w mianowniku, Kołakowski przysłał poecie własne dziełko, w którym klauzulę z cietrzewiem zrymował na pięć różnych sposobów. Ba, określił się mianem „wieszczka większego”: jasne, to żart, niemniej Kołakowski jako *il miglior fabbro* Barańczaka – no, no... Z Andermanem dłaczegoś grać nie chciał.

Może preferował pozostanie nie tylko bohaterem, ale i podmiotem opowieści? A może rad był uniknąć obracania w zabawną a towarzyską narrację przynajmniej niektórych sytuacji społecznych? Czyżby wołał przywołać do porządku innego pisarza, niż podpaść paniom od *Dzieweczki*? Uznawał wprawdzie ideę sprawiedliwości społecznej za potrzebną, ale żeby aż tak?

Anderman nie odpowiedział, przynajmniej publicznie. A bardzo dawno temu wysłał do redakcji jeszcze drugoobiegowej „Arki” taki oto list:

„Wiem, że mówi się komitet, a nie kumitet, spóźnić, a nie spaźnić, z Kielc, a nie z Kielec, nawet to, że mówi się leninizm, a nie lenizm i byłem przekonany, iż Redakcja wie, że wiem. Dlatego zdziwiły mnie poprawki w moim opowiadaniu, wydrukowanym w jedenastym numerze «Arki».

Użycie małych liter w tytule *Płonie teatr narodowy* było celowe, więc niepotrzebnie je zmieniono. I jeżeli w opowiadaniu ktoś mówi o paleniu kumitetów, o tym, że się spaźnił, o tym, że przyjechał z Kielec, i o tym, że nie rozumie, co oni widzą w tym marksizmie i leninizmie, to można się było zastanowić, czy nie użyłem tych słów celowo. I dać im spokój”.

Przy zupełnie innej natomiast okazji „Wyborcza” opublikowała króciuteńki tekścik *Przepraszamy Leszka Kołakowskiego*: „W części nakładu wtorkowej «Gazety» prof. Leszek Kołakowski, filozof, został mylnie określony również jako poseł. Profesora i czytelników przepraszamy. Redakcja”.

*Przylot* Andermana i komentarz Kołakowskiego pochodzą z roku 2005, przeprosiny „GW” z 2006 (dla kronikarskiego porządku dodać wypada, że list Andermana do „Arki”

ukazał się w jednym z zeszytów w 1985 roku). Dziś jednak Kołakowski to chyba już jakiś nie całkiem znany gościu. A można, niestety, tak smętnie sądzić, skoro parę już miesięcy temu pojawił się w księgarniach i w sieci pewien fascynujący tom i dotąd (piszę na początku lipca 2015) raczej o nim cicho. Owszem, czytałem notę w „Nowych Książkach”, cokolwiek dziwną. Wiesław Chudoba, matematyk i filozof, wykonał tytaniczną kwerendę, przygotowując pracę *Leszek Kołakowski. Kronika życia i dzieła*. Wydawałoby się, że tytuł wystarczająco jasno zawiadamia odbiorcę, czego się może między stronami okładki spodziewać: no właśnie kroniki. Tymczasem ktoś podpisujący się A.W. marudzi w „Nowych Książkach”: „Łakomy Kołakowskiego czytelnik z pewnością wołałby dostać do ręki tom poświęcony na przykład wymianie korespondencji filozofa z jakimś kolegą po fachu, z politykiem czy przyjacielem [...]”. Ale żeby nie był przesadnie złośliwy, A.W. dopuszcza możliwość uznania racji Chudoby: „Jest to więc książka, która przytłacza mnogością zdarzeń, a nie idei. Ktoś ją jednak musiał napisać, by służyła jako swego rodzaju encyklopedia-kalendarium [...]”. O ile odnoszący się do Andermana Kołakowski jawi się jako złożona, może i cokolwiek aporetyczna kwestia, o tyle A.W. po prostu porypało się genologicznie.

W słynnym *Odwiecie sacrum w kulturze świeckiej* powiada Kołakowski, iż „religia jest sposobem, w jaki człowiek akceptuje swoje życie jako nieuchronną porażkę”. Wprawdzie Camusowski Syzyf zapatrywał się na tę sprawę nieco inaczej, ale nie pora teraz na polemikę. Nie zamierzam też – skądże! – zastanawiać się nad opisanym życiem Kołakowskiego w kategoriach porażki czy wygranej. (A widać spieszy się z ocenianiem ksiądz Bogdan Piwowarczyk, skoro wydał odnotowaną przez Chudobę książeczkę *Nawrócenia – prawo do prawdy – prawo do błędu. Święty Paweł – Leszek Kołakowski*). Nie czyni tego również autor *Kroniki*, tyle że gęsta biograficzna faktografia pozostawia dużo miejsca: w tym przypadku, by tak rzec, nie może nie nastrojać filozoficznie.

„Dużo miejsca” oznacza również domyślność wielu kontekstów: historycznych, kulturowych (Kołakowski by się skrzywił i poprawił na „kulturalnych”), politycznych, literackich, obyczajowych, uniwersyteckich, urzędowych... Dzięki Chudobie czytelnik poznaje styl uczelnianych sprawozdań Kołakowskiego, spis książek wysłanych przezeń do Kanady podczas (jak się okazało) wyjazdu na emigrację, epistolarną reakcję na zachowania zachodniej społeczności studenckiej z czasów kontrkultury. Dowiaduje się także o sprawach noblowskich: w 1980 roku Miłosz zaproponował kandydaturę Kołakowskiego do nagrody literackiej, w 1978 zaś Kołakowski zgłosił prymasa Wyszyńskiego do nagrody pokojowej. Wielka obfitość faktów, niejednokrotnie zadziwiających. Praca Chudoby jest par excellence imponująca (szkoda tylko, że panie od redakcji i korekty wcale często zajęte były raczej czymś innym). Jedno sprostowanie i jedno uzupełnienie. Otóż, według *Kroniki*, w sierpniu 1975 roku Kołakowscy spotkali się na Cape Cod z Barańczakiem. Napisał on wprawdzie później wiersz pod tym tytułem, traktujący zresztą o czym innym, niemniej w Stanach był dopiero od roku 1981.

Datę wręczenia Kołakowskiemu nagrody „Odry” w roku 1991 uznał biograf za niepewną: „30(?) września”. Zdarzyło się to pięć dni wcześniej. Byłem tam. Kołakowski otrzymał ironiczny autoportret Eugeniusza Geta-Stankiewicza, przedstawiający artystę w cierniowej koronie. Gdy Mieczysław Orski zachwalał podarunek, Kołakowski przerwał i zapytał: „Można zobaczyć?”. Odbierając obraz i nagrodę, podziękował: „Bóg zapłać”.